Tom XVIII.



Nr. 6.

21. lutego 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Anna Jagiellonka.

Nie ma podobno Polaka, coby nie wiedział rozmaitych ciekawości o Krakowie. Bo też nie ma na świecie tak ciekawego miasta dla Polaków, jak stary Kraków i nie ma takiego ciekawego kościoła, jak biskupi kościół krakowski, co się zowie Katedrą na górze Wawelu. Zajdziesz tam, a w koło są kaplice, a w tych kaplicach marmurowe osoby, tak królów, jak biskupów i panów, a to wszystko na wieczną pamiątkę i naukę dla młodych Polaków, jak mają robić i żyć.

Otóż stoi tam kaplica grobowa króla Zygmunta I., który był mądry i dobry dla wszystkich razem, królował jakie 30 lat i umarł roku pańskiego 1538 w tydzień po Zwiastowaniu.

Razu jednego zaprowadził do tego kościoła jeden gospodarz z Świątnik, Maciej Kowadło, swoich dwóch chłopaków, których odwoził do szkoły i oprowadzał ich po kościele i pokazywał te kaplice i te osoby w kaplicach. Aż stanął koło kaplicy króla Zygmunta I. i mówi:

— Moje dzieci! to ma być osoba króla Zygmunta, co go zowią Polacy Starym, bo miał rozum nad rozum i był ojcem kilkorga dzieci, bo dał mu Bóg pono aż 4 córki, a syna jeno jak palec jedynaka.

Na to odezwał się starszy chłopak:

— To nam też tatuniu opowiedźcie co o tym królu i o tej kaplicy.

— Moje dziecko! rzecze ojciec, nie potrafię wam wszystkiego na jeden włos opowiedzieć, ale ja przyprowadzę tu kościelnego, a to stary majster na takie rzeczy i wie tu o każdej cegiełce.

Przyprowadził stary ojciec, siwego kościelnego a ten popatrzył na kaplicę i prawi zaraz:

— Mądry to król, co to leży z marmuru, ale tę kaplicę całą fundowała córka jego Anna pobożna, a to było tak: Cztery córki miał ten król: Jadwiga najstarsza była za Niemcem, Izabela młodsza była za królem węgierskim Janem Zapolją, i z tych królewien nie mieli Polacy pożytku, bo umarły za granicą. Trzecia Katarzyna była za królem szwedzkim Janem, a jej syn Zygmunt został potem królem polskim i ta czwarta, Anna była najdłużej panną, Polacy zaś lubili ją tak, jak królowę Jadwigę. Jakoś nie szła za mąż, bo poprawdzie nie miała wielkiej urody, ale była pobożna, przykładna, miłosierna i uczynna. A piąty był syn Zygmunt August, który po ojcu został królem i przy bracie żyła ta Anna. Jużto naprawdę nie były te królewne szczęśliwe, a to wszystko przez matkę, która była bardzo przewrotna kobieta.

Na złe to miała rozum, ta Bona, bo tak jakoś dziwnie było jej na imię, a to z tej racji, że pochodziła aż z krajów włoskich i nie miał zaczem przepadać ten król, co się z nią ożenił; a wyszukał ją sobie na zmartwienie, jakby w korcu maku groszek robaczny. Ale stało się, bo taka była wola boża na naukę Polakom, aby się w kraju żenili. Ale o czem ja to mam opowiadać? Otóż królewna Anna żyła przy bracie królu, dopóki on żył, ale król brat umarł na Litwie a Anna została naprawdę sierotą, bo cały ród królewski Jagiellonów zaginął z tym bratem jej, któremu ani jednego dziecka nie dał Bóg,

choć miał aż dwie żony Niemki a trzecią miał polską panią urodliwą i dobrą, która nazywała się Barbara Radziwiłłówna, i była wdową po panu Gasztoldzie na Litwie tam koło Wilna, gdzie teraz Moskal niewiara tak dokazuje. Po śmierci brata miała Anna już lat 50 i była podeszła w wieku, ale płakała strasznie; a z nią i cała Polska, bo króle Jagiellony to byli jak ojcowie dla Polaków i nie było wtedy na całym świecie nigdzie takich królów, coby dali krajom i ludziom takie wolne prawa, jak to zrobili ci Jagiellonowie, a było ich 7 królów, jeden po drugim w polskim kraju przez 200 lat z okładem. To było zaczem płakać. Otóż ta Anna rozdała wszystko między ubogich i panów, co zostało po bracie królu, jeno zostawiła sobie kubek srebrny, co się zwał sierotką, bo był sam jeden, po bracie na pamiątkę. A Polacy kochali ją, jak swoją matkę i wyznaczyli jej na każdy miesiąc 2 tysiące dukatów, a to pono na teraźniejsze pieniądze znaczy tyle co 10 tysięcyi papierków, ale pono ono będzie więcej jeszcze; a do tego dal jej 5 starostw na życie, co znaczy tyle, co 5 miast z wsiami na około. Miała więc z czego żyć jako królewna.

— A czy już nigdy nie poszła za mąż? pytał Maciej Kowadło.

— Otóż to właśnie miałem wam powiedzieć, rzecze kościelny, bo Polacy przyrzekli jej, że takiego wybiorą sobie króla, który się z nią zechce ożenić. Obrali sobie królewicza francuskiego Henryka, i on choć był bardzo młody, byłby się może z nią ożenił, jeno ten król wyjechał z Krakowa nazad do swego kraju i nie wrócił więcej, bo tam został królem francuskim po swoim bracie; aż dopiero król Batory ożenił się z nią roku 1576 i tu w Krakowie, w tym kościele była koronowaną i tu brała ślub i miała wesele, jakiego Kraków nie zapamiętał.

Ale król Batory był w takich samych latach, jak ona; był to wojak wielki i miał dużo do roboty, toż Anna siedziała w Ujazdowie koło Warszawy, tam miała dwór, tam fundowała kościół i nowe probostwo, trzymała zawsze dużo ubogich panien i wydawała za mąż i wianowała każdą, a Warszawianie

robili to, co ona radziła, toż mówili Polacy że królowa Anna rządzi całą Warszawą, a król znowu rządzi za Warszawą.

Ale cóż z tego? nie długo była zamężną, bo król Batory umarł roku 1586 i ona została wdową do śmierci. Była tak pobożną i przykładną na cały kraj polski, że aż się o tem dowiedział Ojciec św. i podarował jej różę święconą na znak życzliwości i na pochwałę jej. Z niej brały sobie wszystkie panie przykład życia polskiego w domu i naukę, jak wychowywać dzieci, aby były dobrymi Polakami.

— A cóż ona robiła teraz po śmierci króla? pytał Maciej.

— Co robiła? rzecze kościelny, oto, jak jedni Polacy chcieli Niemca na króla, drudzy zaś Francuza, to ona z Janem Zamojskim hetmanem tak radziła:

— Na co wy macie szukać daleko króla, kiedy moja rodzona siostra Katarzyna ma syna już dorosłego? a ta Katarzyna była królową szwedzką i tam chowała swego syna aż między Szwedami za polskiem morzem.

Na jej radę przystała większa połowa Polaków i obrała tej Anny siostrzeńca Zygmunta za króla, a znowu mniejsza połowa Polaków obrała za króla Maxymiljana, syna cesarza niemieckiego.

— To się może pobili Polacy między sobą? pytał Maciej.

— Polacy jak Polacy, rzecze kościelny, ale ten Max z Wiednią zebrał wojsko i szedł na Kraków, a Zamojski hetman zaszedł mu drogę za Krakowem w Morawji zbił go pod Byczyną i jego samego wziął w niewolę i skończyło się dobrze wszystko, a Zygmunt, młody siostrzeniec rodzony Anny, został królem polskim i szwedzkim naraz. Nie było z niego wiele dobrego, bo ani Polacy nie mieli dobrego króla, ani Anna ciotka nie miała od niego wdzięczności; ale ona była zawsze przywiązana do króla siostrzeńca; toż jak się ożenił król w Wiedniu z Anną, arcyxiężniczką Niemką i miał syna Władysława, to Anna trzymała go do chrztu w Krakowie, tu w tym kościele. Aby zaś miał Kraków pamiątkę od niej za to, że tu na zamku się urodziła i tu do tego kościoła chodziła codzień na mszę św. i tu się wychowała, to fundowała most na Wiśle między Podgórzem a Krakowem, założyła w Łobzo-

wie ogród, gdzie król Kazimierz Wielki przesiadywał, a tu w kościele fundowała tę grobową kaplicę dla ojca i dla rodziny — ta osoba z marmuru to jej ojciec król Zygmunt Stary, a ta kaplica zowie się Kaplica Jagiellońska. Otóż macie teraz wszystko jak na dłoni, a wy chłopcy pamiętajcie to sobie dobrze, abyście to samo drugim opowiadali, jak nas starych nie stanie w Krakowie.

Chłopcy i stary Maciej Kowadło opatrzyli kaplicę i pytali jeszcze:

— A gdzie ta Anna Jagiellonka umarła i gdzie leży pochowana?

— To zapomniałem wam jeszcze powiedzieć, rzecze kościelny. Otóż zaraz po chrzcinach królewicza Władysława wyjechała do Warszawy, gdzie zaniemogła bardzo i chorowała staruszka dość długo; a jak widziała śmierć blisko, zostawiła fundusz dla bractwa św. Anny w Warszawie, potem dała fundusz na pomnik dla męża Batorego, a siostrzeńcowi królowi Zygmuntowi dała swój testament, dała mu w opiekę wszystkie swoje sługi, wynagrodziwszy ich po królewsku, wnukom rozdała pamiątki dawne, przyjęła święte Sakramenta na ostatnią drogę a pobłogosławiwszy siostrzeńca króla i wnuki, umarła mając lat siedmdziesiąt cztery. Ciało jej sprowadzono tu do Krakowa i tu w tym kościele leży.

Maciej Kowadło i jego chłopcy zmówili pacierz w kaplicy i poszli w swoją drogę, a kościelny mówił głośno:

— Wieczny odpoczynek daj jej Panie, Amen.

Xiądz Wojciech z Zaleszan.

Bitwa pod Rydzywem

w roku 1863.

Szumi wiater po nad lasem, nad Rydzywskim lasem,
Spiewa słowik i głos ludzki odezwie się czasem;
Pod dębami pod staremi płoną ognie żywe,
Koło ognisk chłopcy siedzą, siedzą dziady siwe.

Siedzą, gwarzą, jadło warzą, czas wesoło płynie,
Hej! coś dzisiaj roztajały serca tej drużynie!
Coś dziś chłopcy tak ochoczo w podkóweczki krzeszą,
A i starzy odmłodnieli, tak się czegoś cieszą.

Jakże cieszyć się nie mają, mój Ty miły Boże!
Kiedy dla nich dziś wolności zajaśniało zorze –
Dziś kto żywy, pan czy wieśniak, czy też z miejskiej rzeszy,
Na głos wspólnej Matki Polski do obozu spieszy.

Długo w kraju broił Moskal, lud ciemiężył rolny,
Kto żyw został, więdł w więzieniu, jak w słońcu kwiat polny,
Albo z wiary wróg go obrał, pędził na kraj świata,
Gdzie ni wiosny, ni słoneczka, ni szczerego brata.

Ale miarka się przebrała, imaj co kto może,
Czy to strzelbę, czy to kosę, a bij w imię Boże!
Chłopcom naszym nie powiadać tego po dwa razy,
Każdy rad swej pomścić krzywdy i bożej obrazy.

Szumi wiater po nad lasem, nad Rydzywskim lasem,
Śpiewa słowik i głos ludzki odezwie się czasem —
Pod dębami pod staremi ognie płoną żywe,
Przy nich chwackie siedzą chłopcy, dziady siedzą siwe.

Siedzą, gwarzą, chłopy, pany... razem na przemiany,
A przed nimi ksiądz kapelan i wódz ich kochany,
Kolbe zwał się, ubiór jego z szaraczku kapota,
Ale silna wiara w Boga, ale w sercu cnota!

Wstał, rzekł: „Bracia! jak my tutaj, dzisiaj w Polsce całej
Niezliczone z bronią w ręku gromady powstały,
I przysięgły, że dopóty oręża nie rzucą,
Aż Moskali niby snopy do nogi wymłócą.“

„Toż i my też na świadectwo dziś wezwijmy Boga,
Że nie spoczniem, aż precz z kraju wypędzimy wroga!“
I przysięgli i zadrzały męztwem serca w łonie,
Aż się święci radowali tam przy bożym tronie.

Że nie będzie z nich zakały — widać to na oko,
Bo ojczyzny miłość w sercach płonie im głęboko,
Ale broni dobrej nie ma, tylko same kosy
I strzelb kilka, to jak w morzu kilka kropel rosy.

Lecz cyt... wrzawą jakąś lasu zawrzały krawędzie —
— Stójcie! Kto tu? — to broń wiozą — więc już jakoś będzie.
Już i radę sobie damy z moskiewską hołotą —
Same sztućce z bagnetami, to droższe niż złoto.

Ale oto strzał — krzyk nowy na krawędziach lasu,
I broń nową rozdać, użyć, już nie było czasu:
Wiara rwie się, choć nie wprawna, choćby przyszło zginąć,
Choćby wszystkim do jednego przyszło krwią opłynąć.

Ale Kolbe, wódz ich dzielny, wstał i gromko rzecze:
„Nie ma rady — co się zwlecze, o to nie uciecze —
Nas stu nie ma, ich tysiące, to nas zjedzą w kaszy,
I zabiorą broń tę po nas — to jedno mnie straszy.“

„Bo rąk u nas i serc dzielnych znajdzie Polska mnogo,
Ale broni brak — krew także sprzedaje się drogo —
Więc niech chłopy, kosyniery, precz z tą bronią ruszą,
A my strzelcy ich tu własną zasłonimy duszą!“

I ruszyli kosynierzy i już grzmią Moskale,
A dwudziestu strzelców tylko przeciw nim na wale —
Lecz moskiewskie kule górą lecą gdzieś po świecie,
A zaś polska celna kula zawsze wroga zmiecie.

Trzy dziesiątki już ich legły, nasi stoją wszyscy,
Lecz wrogowie podstępują — już stanęli bliscy,
A gdzie rąbią, tam i trzaski z pod siekiery lecą,
Więc i z naszych już ze sześciu krwią rumianą świecą.

Ale żaden nie ustąpi, póki może stoi,
I choć ranny, strzela śmiało, śmierci się nie boi —
O bo słodką już śmierć taka za kraj i za Boga,
I za braci, których śmiercią bronimy od wroga!

Kosyniery z bronią uszli, dziękić Synu Boży!
W innem miejscu w większej sile ich hufiec się złoży —
A tutaj nam do ostatka trwać w krwawej kąpieli,
By w bezpieczne miejsce zawieźć broń dość czasu mieli.

I na nowo zakipiało . lecą niby snopy
Pościnane od kul polskich srogie Moskwy chłopy,
Lecz w ich miejsce inni kroczą na krwawe ściernisko,
I od wstydu zapłonęli, gdy stanęli blisko.

Widząc małą, dzielną garstkę, a swe liczne straty,
Zaprzestali strzelać z sztućców — umilkły armaty,
I z wściekłością z bagnetami naprzód się rzucili,
I przemocą dzielną wiarę zgnietli w jednej chwili.

Oto wszyscy od bagnetów legli na trawniku,
Teraz rannych dobijają śród dzikiego krzyku,
Obcinają nosy, uszy, wyłupują oczy,
Gdzie kto może z Polski synów krwi ostatki toczy.

A Bóg wielki patrzy z nieba, rzekł aniołom z cicha:
— Dolać tę krew polską, czystą, do ofiar kielicha,
Już nie wiele jej tam braknie do pełności czary,
Toć niech będą to ostatnie błagalne ofiary.

Krew ta za lud — niech sprzymierzy ich na wieki z ludem,
A mścicieli z niej tysiące wstanie kiedyś cudem;
Teraz trawa na mogiłach niech im bujno rośnie,
A ptaszęta zmartwychwstania pieśń nucą radośnie.

I stanęła po pod lasem nie wielka mogiła,
I wnet trawą się zieloną aż po wierzch pokryła —
Nad nią biały płacze anioł — ptaszki nucą wiosną,
A mściciele w odymionych chatach rosną, rosną...

Lwów d. 8. Lutego 1868.

Wincenty Srokacz.

Piękny przykład.

Zgoda buduje, niezgoda rujnuje.

Wszyscyśmy kochani ludzie, jak pismo święte mówi: bracia i siostry, wszyscy mamy jednakie przykazania i jednakie chęci, aby się nam dobrze działo, ale cóż z tego, kiedy sami dla siebie największymi jesteśmy nieprzyjaciółmi. Jak się nam co złego stanie, to narzekamy na to, lub na owo, a nikt nie chce temu uwierzyć, że ani nasi nieprzyjaciele ani sam zły duch tyle nam nie zaszkodzi ile my sobie sami szkodzimy. Pomijam tu już pijaństwo i inne grzechy główne bo

złe skutki tychże naocznie widzimy, ale chcę mówić o zgodzie i niezgodzie.

Przypatrzmy się jakiejkolwiek rodzinie; gdzie zgoda panuje, to chociaż przy mniejszym majątku, jakaż ona szczęśliwa! W gromadzie, gdy wszyscy za jednego a jeden za wszystkich odpowiada, tam chociaż i w przykrej doli, wszystko się wiedzie i w każdym złym lub dobrym wypadku radę sobie wnet dadzą. A jak wszystkie gminy i wszystkie stany, czy pan, czy mieszczanin, czy chłop są ze sobą zgodni, to wtedy taki kraj jest prawdziwie szczęśliwy. Ztąd jasno poznajemy, że jak zgoda przynosi szczęście w rodzinie, tak uszczęśliwia gminę i cały kraj. Przeciwnie zaś niezgoda każdemu z osobna i wszystkim razem nieszczęście przynosi.

Plenne to są czasy teraz na te nieszczęsną niezgodę; uderzmy się w piersi a oglądnijmy sprawy nasze ileż to ta niezgoda nieszczęść nam przyniosła, ile wywołała procesów, ile ztąd zemsty; ojciec syna, syn ojca, brat brata w łyżce wody jak to mówią utopiłby; ba i w grobie mu nie daruje. A za co? bo gorszą połowę roli oddał młodszemu a lepszą starszemu synowi, albo starszą krowę oddał Hance a młodszą Marynie, a gdyby przeciwnie zrobił to byłoby tak samo. I niejeden się dziwi zkąd taka bieda, a tu nic dziwnego bo sobie ją sami stwarzamy niezgodą, daj Boże aby to tylko ta bieda tutaj się skończyła, lecz nie na tem koniec, staniemy przed sądem Boga a tam będzie straszny nie jednemu rachunek!

Więc oto w takich to czasach, gdzie tyle niezgody w domach, gminach i całym narodzie, gdzie ludzie siebie i drugich niszczą, gdzie dobrą radę i prawdę prosto od serca wziętą ludzie wypchną od siebie jak z karczmy żebraka, a złe podszepty chętnie przyjąć gotowi, stawiam wam mili czytelnicy piękny przykład zgody i wzajemnej miłości dwóch braci.

W okolicy Grybowa, trzy mile przed Sączem, jest wioska nie wielka Stróże Niżne. Grunta tam dobre a i ludzie tam dobrzy. Przyszedłszy tam uderzy cię zaraz w oczy dom duży drewniany, ale porządnie wystawiony, z kominem, obielony czyściutko, na podmurowaniu wysokiem, okna dwa na pół otwierane, w oknach kwiatki, drabina na dachu, obok zaraz stodoły

dwie porządne i pełne, z innej strony stajnie czyściutkie, ładne bez gnoju i błota pod nogami, sad piękny, w nim pszczoły, -- a tyle desek i drzewa na paliwo i budulec naskładane, a wszystko tak pięknie ogrodzone, że każdy przechodząc tamtędy pierwszy raz mimowoli się zatrzyma i zapyta kto tu mieszka. Na takie zapytanie otrzymasz odpowiedź: Tu mieszka dwóch braci Jan i Józef Wiatrowie. Choćbyś człowieku ślubował, że nigdy ciekawym nie będziesz, to same nogi zawiodą cię do tego domu a przyszedłszy tam, spoglądasz i myślisz, że wyjdzie do ciebie jaki pan, bogaty, a tu wychodzi do ciebie gospodarz domu, nie pan, ale chłop polski w narodowem ubraniu tj. sukmanie wyszywanej, koszuli z swojskiego płótna popuszczonej i w pasie przepasanej, szpinka pod szyją, buty krojem węgierskim, a wszystko czyste i świeże jak nowe.

A jak cię powita serdecznie, nisko się skłoni i w dom zaprosi to zaraz go poznasz, że dusza w nim szlachetna. Gospodyni powita cię także uprzejmie a patrzy i pyta kogo jej Pan Bóg do domu wprowadził a niedługo się bawiąc, przynosi chleb jak koło u wozu, ser co zakryje pół stołu, masło na talerzu i mleko w grybowskim świecącym garnuszku, a nawet szklankę, wszystko zaś takie nęcące a takie smaczne, że i sam król pochwalićby musiał. Ale gdzie ci tam człeku jedzenie w głowie! tyś ciekawy, oglądasz sprzęty i podziwiasz komodę politurowaną, stoliki, stołki, szafeczki, obrazy, wszystko jakby dziś nowo ustawione. Skrzynia jedna i druga pełne odzienia, na ścianie zegar i książki na pułeczce, a spytajno się ich o dzieci, to jak ci zacznie mówić: Jaś w szkołach w Sączu a Wojtuś w Tarnowie a Józuś do naszej szkoły chodzi, Marysia już się wyuczyła, tę małą poszlemy w jesieni, to nie wytrzymasz abyś takiego chłopa serdecznie nie uścisnął i nie westchnął do Boga z tą myślą: Daj nam Boże takich więcej a będzie kraj szczęśliwy.

Ja byłem nieraz i nie jedną godzinę w domu tych Wiatrów poczciwych, bo nawet żona Józefa jest moją uczennicą, to też i wiem, jacy to ludzie i jak do takiej zamożności przyszli, więc wam też moi czytelnicy opiszę.

Otóż rola, na której mieszkają, jestto spuścizna po ojcach, na której starszy Jan najprzód osiadł i kilka lat gospodarował, bo młodszy Józef służył przy wojsku. Ten Józef przyszedł od wojska taki, jaki poszedł, bo chyba coś pożytecznego tam się wyuczył: *lem, sem, pag,* i razu nie powiedział, ale przyszedł z życzliwem sercem do brata, a widząc, iż jeszcze nie dorobił się aby mu spłat z gruntu wyliczył, zwłaszcza, że brat miał i dzieci kilkoro, przyjął służbę u niego do koni i szczerze mu pracował. Jan widząc dopiero, że brat jego jest tęgim chłopakiem, że wszystko dobrze i skrzętnie robi, zawołał go do siebie i w te słowa się odezwał:

— Poznałem cię bracie i w domu i na zagonie, i widzę żeś nie ladaco; otóż umyśliłem wynagrodzić cię za twoją dla mnie życzliwość. Obierz sobie jaką dziewuchę za żonę, a ta rola wyżywi nas wszystkich. Będziemy ją trzymać wspólnie, ale nie dzielić grunt na pół, tylko tak, że co twoje to i moje a co moje to twoje. Zbożem, chudobą, pieniądzmi dzielić się a pod jednym dachem mieszkać będziemy, bo jest na tyle miejsca. Jeżeliś na to zgodny, to ja słowa nie zmienię a jakby ci się krzywda widziała, to powiedz otwarcie jak chcesz a zrobię wedle twojej woli.

Józef pokłonił się bratu i bratowej i na tę zgodę przystaje. Wnet się potem ożenił i żonę w dom Jana wprowadził. I odtąd żyją razem. Józef brata jak dobrodzieja szanuje i taka tam święta zgoda jak w niebie. W parę lat trafiła się w tej wsi rola na sprzedaż, za którą trzeba było dać trzy tysiące reńskich Jan woła Józefa i jak zaczęli oszczędzone pieniążki składać, radzić, aby co brakuje dopożyczyć, co im sąsiedzi chętnie wygodzili: kupili tę rolę; ale żaden tam się nie wyprowadził, tylko wciąż mieszkają pod jednym dachem, a że im dom stary był trochę niewygodny i już popsuty, nowy jak go opisałem wystawili.

Tak im też Pan Bóg błogosławi w domu, oborze, stodole, że tam nikt takich koni, takiego bydła i takiego zboża w całej okolicy nie ma, jak bracia Wiatry, ale i ludzie wielce ich szanują, bo czy to u księdza czy we dworze czy w mieście

czy urzędzie, każdy ich przywita mile, siedzić prosi, nie uważa, że chłop kiedy tylko poczciwy, trzeźwy i mądry.

I wiele, wiele, mógłbym wam mili czytelnicy szlachetnych czynów tych braci Wiatrów opisać, ale na dokończenie tyle chociaż dodam, że przy oszczędności, pracy i błogosławieństwie nieba, powiększając swój majątek, nie żałują go i na czyn dobry. Oto przykład: Dziedzic tej wioski tak podupadł, że ogołocony z całego majątku i na zdrowiu podupadły, musiałby był na starość cierpieć największy niedostatek. Bracia Wiatrowie szanując w nim dawną uczciwość dla ludu tej wioski, przez dziesięć lat tj. do śmierci, jedyną mu byli podporą. Prawie wszystko do szpiżarni a nawet drzewo i mleko mu posyłali. Wie o tem cała tamtejsza okolica i może to zaświadczyć. Oby więc Bóg dał im największe błogosławieństwo, oby nasz kraj mógł szczycić się jak największą liczbą ludzi podobnych do braci Wiatrów.

Edmund Janicki,
nauczyciel z Błażkowy.

Choroba i zgon pijaka.

Ostrych trunków nadużycie,
Wątli siły, skraca życie.

— Wierzaj mi Anusiu, rzekła matka, oddal od siebie Marcina, odczep się od niego, nie wierz mu, bo to ladaco.

— Ale moja matko, odparła córka, przecież on wiele i ciągle nie pije, tylko mu łatwo głowa się zawraca. Jeżeli mu się zdarzy niekiedy wychylić parę półkwaterków, to już Bóg wie, jakie dziwy o nim rozgadują; zresztą on mi już ogniście po kilka razy przyrzekał, że więcej pić nie będzie, że się wstrzyma od wódki, że nawet zapisze się do towarzystwa wstrzemięźliwości, jak się tylko już raz pobierzemy! „Oto, Anusiu, mawia on często do mnie, wiesz dla czego czasami zawadzę o karczmę? bo niekiedy i przykrzy się prawdziwie, jak człowiek nie ma co do roboty, czego przecież nie będzie, jak się weźmiemy do pracy na naszem gospodarstwie.“

— O niemądra, łatwowierna dziewczyno, z gniewem prawie zawołała matka, i ty wierzysz temu? Czyliż dwudziestoczteroletnie drzewo, da się nagiąć kiedy?... Marcinowi wódka w nałóg weszła, stała mu się potrzebą, on już nigdy od niej nie odwyknie.

— A przecież ja lepiej muszę wiedzieć, odpowie na to Anusia, a wszakże on w przeszłą niedzielę, dla mnie, z nami wszystkiemi poszedł do lasu i aż do wieczora ani kropli nie wypił.

Na te słowa nadszedł ojciec, a gdy się dowiedział, o czem była mowa, rzekł z ojcowską powagą:

— Moja Anusiu, jesteś pełnoletnia; znaglać cię nie mogę: ale wierzaj mi, Marcin daleko już zaszedł, żeby się odmienił; jeżeli więc wejdziesz w związek z nałogowym pijakiem, a tem samem nieporządnym człowiekiem, to przynajmniej nie powiesz, żeśmy ci tego nie odmawiali. Wezwij Boga na pomoc i rozważ dobrze, co masz przedsięwziąść, bo ożenienie albo wydanie się za mąż, nie jest to samo co przyjęcie do usług człowieka, którego w każdym razie według potrzeby, wydalić można od siebie. Związek małżeński zawiera się na całe życie, a hultaj nie tylko dobytek rodzicielski roztrwoni, ale i żonę nieszczęśliwą udręczy i do nędzy przywiedzie.

Zakłopotana dziewczyna, z zwieszoną głową stała nieporuszona, skubiąc bezmyślnie jeden róg zapaski. Rzekła wreszcie ledwie dosłyszanym głosem:

— Choćby też Marcin czasem i ten kubek wypił, to na nim pewnie przestanie i nic w tem złego nie będzie. Większe od naszych majątki marnie się choć nie przez pijaństwo rozeszły; on słowa dotrzyma, przy mnie i dom go zajmie i od złego uchroni. Wreszcie co się ma stać, to człeka nie minie.

— Moje dziecko, odezwał się ojciec, kiedy tak upornie chcesz wytrwać przy swojem, kiedy niebacznie życzliwe rady rodzicielskie odpychasz od siebie i kiedy próżną uwodzisz się jego poprawy nadzieją; to choć z ściśnionem sercem nad twoją przyszłą dolą, życzę ci żebyś twego pospiechu i nierozwagi nie żałowała, bo żal po niewczasie, za późny, daremny.

Nareszcie nadeszła chwila upragnionego wesela; uradowana Anusia rozpływała się w swem szczęściu, ale... niedaleko zapłynęła; bo gdy jeszcze w wieńcu na głowie, na przedniem miejscu siedziała, spostrzegła twarz rozpaloną swojego męża, który zbyt skrzętnie częstowaniem gości zajęty, nie zapominał o sobie, a połyskujące oczy i niepewny ruch ciała, aż nadto widocznie zdradzały niepomierne użycie trunku, którego się tak uroczyście przed ślubem wyrzekał. Zaniepokojona panna młoda pilnie śledziła oczami wszelkie poruszenie swojego Marcina, a ten właśnie w tej samej chwili, częstując swoją ciotkę Wojciechowę, o mało nie upuścił dzbana z miodem. Z zasępionem czołem siedział biedny ojciec i na wszystko co

się wkoło niego działo, baczne zwracał oko. Na niejednym ta uroczystość weselna, przykre sprawiała wrażenie, bo każdy łatwo się domyślał, jak okropna przyszłość tej młodej parze zagraża.

Wkrótce wszystkie przyrzeczenia dawniej czynione, niewydalania się z domu bez ważnej przyczyny, z wiatrem uleciały. Marcin nietylko co niedziela był stałym w karczmie gościem, ale coraz częściej i w dnie powszednie, wybrawszy się z jakiembądź narzędziem na robotę w polę, ubocznemi drogami do szynku zawracał. Pieniądze wprawdzie były jeszcze w trzosie, lecz przy żniwie a szczególniej w jesieni, pokazało się widocznie, że gospodarskie oko na wszystko obojętne, bo czem innem zajęte, jedyną było przyczyną wszelkiego niedoboru grożącego niedostatkiem, a może i biedą. Anna przezornością, pracą, gorliwem w każdą rzecz wglądaniem, zapobiegała ile było w jej mocy, ostatecznemu upadkowi, ale wszystkiemu sama podołać nie mogła, z pokornem też poddaniem się losowi, jaki sobie sama zgotowała, cierpliwie swój krzyż dźwigała. Z początku często upominała męża dobrocią, często przychodziło do swarów i kłótni; lecz kiedy przekonała się, że jej mąż rzeczywiście nałogowym został już pijakiem, wtedy zrozpaczona nieledwie niewiasta, widząc udaremnione swoje starania, zagrzęzłego w zgubnej namiętności człowieka, umilkła zupełnie. Nie chciała i nie śmiała użalać się przed rodzicami. bo oni dawno już przepowiedzieli jej, co ją tak srodze teraz dotknęło. Ile mogła, miłością wszystko pokrywała; ale udręczona w duszy, nie miała pokoju, bo aż nadto była przekonana, że dla jej męża nie było ratunku; ten bowiem jeżeli nie pił, to drżał na całem ciele, a jeźli się zbyt uraczył trunkiem, to jak dziecko prawił niedorzeczy tak, że najemników i własnej czeladzi, wstydzić się trzeba było. Marcin w swojem nieszczęsnem zaślepieniu, coraz głębiej zapadał; wkrótce godziny na hulance przepędzane, zamieniały się na połowę dnia, te zaś następnie na całe dnie i noce, a w końcu nareszcie w ciągłem odurzeniu pogrążony, nigdy właściwie do przytomności nie wracał.

Jednego wieczora było to przy końcu maja — gdy wszyscy domownicy do wieczerzy zasiedli, Marcin jak zwykle nieprzytomny, zaczął gwałtownie suwać łyżką po misce i wreszcie głośno zakrzyknął:

— Mysz, mysz przeklęta!... Antku, pomóżno mi prędzej złapać tego niegodziwca... i w tej samej chwili brał ziemniaki do ręki i rozciskiwał je po izbie dla myszy. Czeladź rozweselona

humorem gospodarza, śmiała się do rozpuku, ale biedna żona, wolałaby raczej schować się pod ziemię!

— Marcinie, rzekła do niego łagodnie, jakoś ci dzisiaj nie dobrze, chodź, połóż się choć na chwilę, wypocznij...

— Jakto? z gniewem zawołał niepowściągniony w swoim zapale małżonek, czyż to ja nie wiem?... o wiem ja dobrze, że skrzypki w obwisłych kapeluszach spuszczają się do ciebie kominem i na stolnicy wdzięcznie ci rzempolą... czy słyszysz jak maucza!...

Teraz miał twarz rozpłomienioną, oczy ogniem błyskające, drżał gwałtownie na wszystkich członkach i na chwiejących się nogach nie mógł się utrzymać. Żadnego do ust nie wziął pokarmu, a cokolwiek mu do jedzenia przyniesiono, poczytywał za młóto; wydziwiał na żonę, że tylko dla wieprzów umie gotować a nic poczciwie nie zrobi... Nareszcie położył się nie bez trudności, ale ani chwili spokojnie zachować się nie zdołał: to mu się zdawało, że cielę biega pod jego łóżkiem i chciał je chwytać, to znowu słyszał pod poduszką skrzeczącą żabę, lub widział szczura po powale biegającego, z spuszczonym aż do jego nosa ogonem. Bez odetchnienia przewalał się po łóżku a niekiedy wypadał z niego i gonił za pieniądzmi, które mu się niby z ręki wysunęły. Daremnie strapiona kobieta, obłąkanego męża uspokoić usiłowała, dobra jej chęć w większy go jeszcze gniew wprawiała

— Ty szara gęś, wrzasnął przeraźliwie, siedź cicho pod piecem!

Nieszczęśliwa Anna wezwała lekarza, a ten upewniał, że choroba jest po większej części skutkiem ciągłego pijaństwa. Zapisał lekarstwo, to jednak z początku nie pomagało, ale owszem wzmagała się prawie niespokojność chorego, tem gwałtowniejsze okazywało się na wszystkich członkach drżenie, a nadto pomięszanie zmysłów. W tem gdy ojciec biednej Anny nadszedł i okropne położenie swojego dziecięcia zobaczył, z ściśnionem od żalu sercem i słowa wyrzec nie zdołał, ale ze łzami w oczach ujął córkę w swoje objęcia, która długo tajone dotąd zgryzoty, w rzewnym płaczu na łonie ojca zdradzała.

Nareszcie po troskliwem lekarza staraniu, zamykały się zwolna znużone chorego powieki, a błogi sen użyczył mu miłego wytchnienia, rozdrażnione zaś długiem utrudzeniem ciało w zbawiennym utulił spoczynku. Ocalał on na teraz według zdania lekarza, ale z tem jego zastrzeżeniem, że jeżeli chory powróci znowu do swego nałogu, wtedy za nic ręczyć nie może. Marcin po kilka razy to się budził, to zasypiał, do-

póki drżenie nie ustąpiło, a zdrowy rozum nie wrócił na powrót. Teraz teść wziął go w swoje obroty. Powtórzył mu wiernie słowa lekarza, prosił i zaklinał na szczęście jego własne i przywiązanej do niego żony, żeby się wstrzymał od trunku, którен w swych skutkach tak się zgubnym dla niego okazał i nietylko oboje małżonków na ciężkie naraził cierpienie, ale i gospodarstwo do upadku nachylił. Marcin ile się przynajmniej zdawało, szczerym żalem przejęty, obiecywał poprawę. Jednakże pomimo i dobrej chęci może, tak głęboko już w obrzydłym ugrząznął nałogu, że w żaden sposób z niego wybrnąć nie zdołał; musiał pić na nowo.

I tak w niedługi czas potem, znowu taż sama poczęła się historya i to w sposób daleko groźniejszy niż za pierwszą razą, bo w zaciekłości swojej obłąkany Marcin, wszystko co mu tylko w ręce się dostało, tłukł, łamał, rozbijał, i nieraz nieszczęśliwa żona zaledwie tylko jego zajadliwości uniknąć zdołała. (O biedna niewiasto! przestrogi rodzicielskie roztopionym ołowiem dręczyły zapewne twe serce zbolałe!) Jeszcze raz wybawił lekarz zaciekłego w nałogu człowieka, od grożącego mu niebezpieczeństwa; jeszcze raz użyczył Bóg łaski zatwardziałemu w złem grzesznikowi, ale ten niepomny dobroci i litości Jego, nadużył ich bezkarnie.

Ku jesieni zapadł Marcin na zapalenie płuc, za zjawieniem się zaś gorączki wróciło natychmiast szaleństwo, pijaństwu właściwe. Teraz już nie było ratunku, śmierć okropna była nieuniknionem następstwem nieumiarkowania w użyciu trunków. Na krzyżu zatkniętym na jego grobie był napis: Marcin Stężaj urodził się dnia 3. maja 1830 r., umarł 27. września 1858, p zeżywszy lat 28.

Dwadzieścia ośm lat było mu danych, do przygotowania się w podróż do długiej, nieskończonej nigdy wieczności. A jakże ta biedna dusza, po tak zmarnowanem życiu, przed swoim Sędzią stanęła? Nikt tego wprawdzie wiedzieć nie może, ale myśl o tem przerażeniem duszę naszą ogarnia!

Anna znowu do rodziców wróciła; już ona dawno w bolesnem wspomnieniu miłość swoją pogrzebała, której wszystko poświęciła. Litość i uczucie obowiązku łączyły ją tylko z zupełnie zgubionym człowiekiem. Krzyż domowy był dla niej zbawienną szkołą, w której znalazła swego Pana, a wszystkich nas Zbawiciela; w nim ona samotne dni swojego wdowieństwa w cichości i pokorze przeżyła. *Cz. z Brz.*

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.